

**Norbert Michta**

## **Z mojej drogi do BCH, część 2.**

Jest to druga część wspomnień gen. bryg. dr hab. Norberta Michty, działacza ruchu robotniczego, historyka, pracownika naukowego, syna chłopskiego ziemi miechowskiej, z jego działalności w czasie II wojny światowej. Wspomnienia te ostatecznie zredagowane zostały przez generała w latach 2000-2001 i przekazane na ręce dyrektora Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego w Warszawie. Na całość wspomnień składają się następujące części:

- Przedwojenne reminiscencje
- Tygodnie nadziei, rozczarowań i klęski w 1939 roku
- Polska Organizacja Patriotyczna Młody Orzeł
- Kompania Dozorowania im. gen. Sikorskiego
- Współdziałanie z Chłostą i BCH
- W oddziale wypadowym LSB „Burza”
- Mordy bratobójcze ciosem we wspólny front walki
- Krzepiące i gorzkie doświadczenia z okresu „Partyzanckiej Republiki Miechowsko-Pińczowskiej”
- Faszystowskie bestialstwa i kolejne mordy bratobójcze.

Pierwsze cztery części zostały opublikowane w „Roczniku Historycznym Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego” nr 35, 2019<sup>1</sup>. Poniżej edytujemy kolejne pięć części. W edycji zachowano oryginalną pisownię. W nawiasach kwadratowych wstawiono wyjaśnienia skrótów i innych informacji.

Janusz Gmitruk  
Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego

### **Norbert Michta** **Z mojej drogi do BCH**

#### **Współdziałanie z Chłostą i BCh**

Ze strony Związku Walki Zbrojnej, z ośrodkiem w Słaboszowie czyniono propozycję, a następnie i naciski, aby podporządkować „KDiGS” [Kompanię Dozorowania im. Generała Sikorskiego] tej organizacji wojskowej. W tej sytuacji pewne-

---

<sup>1</sup> N. Michta, *Z mojej drogi do BCH*, przygotował J. Gmitruk, „Rocznik Historyczny Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego” nr 35, 2019, s. 215–236.

go wieczora, chyba w marcu 1942 roku, Henryk Jaros „Wilson” zwołał zebranie, na którym wszyscy z wyjątkiem jednej osoby, opowiedzieliśmy się za utrzymaniem samodzielności organizacji, ale i za nawiązaniem współpracy z ludowcami. Niedługo potem przybył do nas na rozmowę Władysław Bronisław Pilawski i zaproponował współpracę w imieniu bechowców. W następstwie tej inicjatywy w połowie kwietnia 1942 roku spotkaliśmy się w chacie znanego działacza ruchu ludowego, Szymona Dudka „Wrzosa” we wsi Zbigały, przyjaciela mojego ojca z okresu POW i prezesa Powiatowego Zarządu Stronnictwa Ludowego w Miechowie przed wojną. Przez 9 miesięcy więziony był w Berezie Kartuskiej i nabawił się tam ciężkiej choroby płuc. Już w pierwszych miesiącach okupacji hitlerowskiej z Józefem Gryszakowskim z Rzędzin Zbigalskich i Władysławem Dąbrowskim ze Ślaboszowa utworzyli „Grupę Oporu SL”, którą następnie przekształcili w Straż Chłopską (Chłostrę). W 1942 roku powstały Bataliony Chłopskie w gminie Niepszów. Dudek poznał mnie od razu, mówiąc:

*– Z twoim ojcem, Wojtkiem, razem szkoliliśmy się w POW i rozbajaliśmy Austriaków. Wojtek walczył pod Lwowem, ja pod Warszawą i Krzemieńcem, gdzie zostałem ranny.*

Poczęstował nas miodem na spodeczkach (faktycznie utrzymywał się z pszczerlarstwa), przystępując od razu do rzeczy:

*– Dużo powstało organizacji podziemnych i wiele z nich chce mydlić oczy chłopom. W powiecie miechowskim oprócz ZWZ, działają również – [Polska Organizacja Wolności] „Raclawice” i WRN [Wolność Równość Niepodległość – organizacja Polskiej Partii Socjalistycznej], nie mówiąc już o drobniejszych ugrupowaniach. Tylko jednak Stronnictwo Ludowe i Bataliony Chłopskie prowadzą równocześnie walkę o wyzwolenie Polski spod okupacji i powołanie prawdziwie ludowego rządu. Słyszałem, że poróżniliście się z Oczkowiczem. My, ludowcy, nie deklarujemy się przeciwko Armii Czerwonej, a osobiście wierzę, że Związek Sowiecki pokona armię hitlerowską. Cieszymy się z zawartego porozumienia między Sikorskim i Stalinem. Nie chcemy jednak takiego ustroju jak w Rosji. Chłopi powinni posiadać ziemię na własność i to o wiele więcej, niż mają jej dotychczas. Domagamy się więc rozdania ziemi obszarniczej bezrolnym, mało- i średniorolnym. Nie jesteśmy za wprowadzaniem kolchozów, chcemy aby chłop żył i pracował na własnej ziemi i na własny rachunek.*

W wyniku rozmowy i dyskusji między Dudkiem i Pilawskim z jednej strony, a Jarosem i mną z drugiej, zawarte zostało porozumienie o współpracy między „Chłostrą” a „KDiGS”. Odtąd braliśmy udział w szkoleniu i wspólnych akcjach z bechowcami. Komendantem gminnym „Straży Chłopskiej” był Władysław Dąbrowski ps. „Kos”, jego zastępcą Bronisław Pilawski „Burza”, a Oddział Wypadowy BCH stanowili: Zygmunt Madetko i Roman Nowak ze wsi Cypryanów, Stanisław Szostak ze Święcic, Jan Wypych i Piotr Marzec oraz Stanisław Nowak ze Ślaboszowa, Henryk Nocoń z Rzemiedzic, Edward Malmon i Bronisław Szot z Ilkowiec, Bronisław Ciemierz z Kropidła, Henryk Kisiel i Stefan Pawełek oraz

Wiesław Stępniewski z Nieszkowa, Eugeniusz Szafirski z Pieczonóg. Dysponowali oni wówczas kilkunastoma karabinami, rewolwerami i fuzjami. Współdziałając z bechowcami z gmin: Sancyginów, Raclawice i Wielko-Zagórze, wymierzaliśmy wówczas karę chłosty współpracującym z władzami okupacyjnymi, nadgorliwym urzędnikom i sołtysom, obcinaliśmy włosy dziewczynom „zadającym się” z Niemcami, niszczyliśmy młeczarnie i bimbrownie. Latem 1942 roku nawiązaliśmy współdziałanie z bojówką BCH z Kaliny Wielkiej, którą dowodził Stanisław Waligóra „Łukasieński”, a do której należał również mój kolega z gimnazjum Tadeusz Zegan „Poryw”.

Michał Gass był bratem ciotecznym mojej matki, więc nazywałem go wujem. Pracował przed wojną początkowo jako robotnik w Hucie Bankowej w Dąbrowie Górniczej, a później dostał jakąś podrzędną pracę biurową. Należał do PPS i jako korespondent pisywał do „Robotnika”. Przez pierwsze półtora roku okupacji pozostał na miejscu i w warunkach hitlerowskiego terroru próbował organizować działalność podziemną. Kiedy jednak gestapo zaczęło mu deptać po piętach opuścił Dąbrowę Górniczą i przez „zieloną granicę” przedostał się do Generalnego Gubernatorstwa. Zamieszkał u swojego brata w Górach Miechowskich. Tuż przed zniwami 1942 roku odwiedził moją matkę. Biorąc pod uwagę doświadczenie życiowe, działalność w PPS i szeroką wiedzę, pragnąłem jak najwięcej uzyskać od niego wiadomości i zorientować się, jaką reprezentuje postawę wobec różnych organizacji ruchu oporu. Michał był zdecydowanym wrogiem faszystowskich Niemiec. Uważał, że socjaliści mają najlepszy program przebudowy ustroju społecznego i oni zadecydują w niepodległej Polsce o powołaniu rządu w interesie przede wszystkim robotników i chłopów. Obawiał się jednak rewolucyjnych wstrząsów i wojny domowej, z jednej strony, a z drugiej – dyktatury kapitalistów i obszarników. Dostrzegał potęgę wojskową Rosji Sowieckiej, ale miał sporo uprzedzeń i wątpliwości co do poziomu życia ludzi w tak ogromnym imperium. Pragnął reform politycznych i ekonomicznych w Polsce drogą ewolucyjną, w miarę wzrostu świadomości i stopnia organizowania się robotników i chłopów. Uważał, że kapitalizm już się przeżył i po wojnie nastąpi era rządów socjalistycznych, ale bez dyktatury, której nie da się pogodzić z demokracją. Obszarnikom można pozostawić niewielkie gospodarstwa i niech na nich gospodarują. Fabryki należy przekazać pod zarząd robotników, ale jeżeli dotychczasowi właściciele i dyrektorzy zechcą w nich pracować, na równi z robotnikami, nie trzeba ich będzie przepędzać. Handel i całą wymianę towarową przejmie spółdzielczość. Na wsi chłopci chcą własnych gospodarstw. Trzeba jednak podnieść ceny na płody rolne oraz rozbudować sieć sklepów spółdzielczych, które będą zajmować się zaopatrywaniem rolników w towary, a także skupem produktów, eliminując prywatnych pośredników, najbardziej wyzyskujących chłopów.

Poglądy wuja pobudzały mnie do głębokich przemyśleń. Osobiście pragnąłem rozwiązań radykalniejszych a nie połowicznych. W moich ówczesnych założe-

niach więcej było jednak marzeń i pragnień niż konkretnych sformułowań programowych. Wszakże co do jednego byłem zdecydowanie przekonany: aby zbudować nowy, sprawiedliwy ustrój społeczny, trzeba obalić stary.

Rankiem 5 grudnia 1942 roku przyszedł do mnie Henryk Jaros w stanie dużego podniecenia, informując, że dzień wcześniej, grupa partyzantów zabrała wszystkie pieniądze z kasy kolejowej w Charsznicy. Niemcy podnieśli alarm, zorganizowali pościg, ale nikogo nie schwytali. Po kilku dniach Heniek oznajmił:

– *Kasę kolejową w Charsznicy ogołocili partyzanci pod nazwą „Gwardia Ludowa”, a utworzyła ją Polska Partia Robotnicza. Podobno jej inicjatorami i założycielami są komuniści. Postanowiliśmy zorientować się, kto do tej partii należy.*

W 1940 roku w gminie Raclawice utworzona została organizacja niepodległościowa pod nazwą „Tajna Armia Polska”. Kierownictwo jej znajdowało się we wsi Kalina Wielka, gdzie mieszkał ponoć przywódca tejże „major” Paweł Włoczek, rodem ze Śląska. W gminie Wielko-Zagórze „Tajną Armią Polską” przekształconą w 1941 r. w „Konfederację Zbrojną”, kierował wójt i zarazem nauczyciel Julian Piwowski, który oddał duże zasługi ruchowi oporu, dostarczając konspiratorom dowody osobiste. Do „Konfederacji Zbrojnej” należało w powiecie miechowskim około 100 osób. Brat Michała Gasa, Władysław, z Gór Miechowskich nawiązał kontakt z „majorem” Pawłem i utworzył grupę „Konfederacji Zbrojnej” pod kryptonimem „Adam”. Pod koniec 1941 roku odszedł jednak od tej organizacji i po rozmowie ze mną, przystąpił do KDiGS wraz z kilkunastu osobami z Gór Miechowskich, Rędzin Kalińskich i Grzymałowa. Wśród nich znaleźli się również moi kuzyni, bracia Mirkowie – Zdzisław i Wiesław, którzy chcąc uniknąć wyjazdu do pracy przymusowej w Rzeszy, przedostali się z Dąbrowy Górniczej do Gór Miechowskich, gdzie zamieszkali w rodzinnym domu swojej matki.

Różnie zachowywali się policjanci, którzy zgłosili się do służby pod kierownictwem żandarmów niemieckich. Obok pomagających Polakom, czy też patrzących przez palce na sabotowanie zarządzeń władz okupacyjnych, byli też nadgorliwcy, nie ustępujący w okrucieństwie gestapowcom. Wielu granatowych, a może większość z nich, wyłudzało od mieszkańców miast i wsi pieniądze, brało łapówki, przywłaszczało sobie przy każdej okazji ich mienie, a zagarniało pożydowskie. Policjant Łuczyński z posterunku w Kalinie Wielkiej szedł ludziom na rękę, ostrzegał ich przed groźącym niebezpieczeństwem i w końcu sam musiał się ukrywać przed Niemcami. Natomiast Madejski z Książa Wielkiego osobiście rozstrzeliwał Żydów i poniósł zasłużoną karę. Partyzanci wykonali na nim wyrok śmierci.

Po decyzji Naczelnego Wodza z Londynu o przekazaniu wszystkich ugrupowań zbrojnych „pod rozkazy Naczelnego Kierownictwa Sił Zbrojnych w Kraju”, ZWZ w gminie Nieszków przekształcił się w placówkę AK [Armia Krajowa] na czele z nauczycielem Wawrzyńcem Kobylcem – „Wiernym”, nieprzychylnym ruchowi ludowemu. On i dwaj inni podporucznicy rezerwy przeprowadzili rozmowę z Dudkiem i Pilawskim żądając podporządkowania oddziału wypadowego

BCh pod ich rozkazy i przekazania posiadanej broni. Dudek „Wrzos” co prawda podkreślał znaczenie scentralizowanego dowództwa wojskowego wszystkimi ugrupowaniami zbrojnymi w kraju, ale ociągał się z podjęciem ostatecznej decyzji tłumacząc zwłokę brakiem wyraźnych dyrektyw ze strony własnych przełożonych. Tymczasem wszyscy bechowcy wchodzący w skład oddziału wypadowego wypowiedzieli się za dalszą samodzielnością i niezależnością, nie ufając miejscowym organizatorom ZWZ-AK.

W pierwszych dniach lutego 1943 roku obiegła okolicę wiadomość o klęsce wojsk niemieckich pod Stalingradem, budząc nadzieję na szybkie zakończenie wojny i wyzwolenie Polski spod okupacji. Wreszcie i „Kraukauer Zeitung” w czarnej obwódce zamieściła informację, że wojska niemieckie „odstąpiły od Stalingradu”. Z tej okazji H. Jaros zwołał zebranie aktywniejszych członków KDIGS i bimbrowym toastem powitaliśmy wielką klęskę hitlerowskiego okupanta.

W kwietniu 1943 roku w zagajniku między Śladowem a Grzymałowem żandarmi zastrzelili Żyda Pachciarza i jego żonę, a dwie córki zabrali na posterunek do Kaliny Wielkiej. Nieszczęsny Pachciarz, zamieszkały od dawna w Śladowie, a utrzymujący rodzinę z handlu pierzem i skórami zwierząt futerkowych, wydrążył kryjówkę w skarpie porosłej gęstą leszczyną. W norze tej, jak się okazało w makabrycznych wprost warunkach, spędził z rodziną zimę i początek wiosny. W końcu policjanci i żandarmi wywyszli to miejsce, albo ktoś zdradził ukrywających się. Jeden z policjantów, jak mówiono, chciał ocalić dziewczynki i wieczorem wypuścić je na wolność. Ale pozostali sprzeciwili się temu. Żandarmi następnego dnia wyprowadzili siostry do lasu i tam dokonali na nich mordu przez rozstrzelanie.

Niektóre rodziny żydowskie, lub pojedyncze osoby tej narodowości znajdowały schronienie i opiekę w zabudowaniach chłopskich i uszły niechybnej zagładzie. Nie jeden jednak raz próba ocalenia im życia kończyła się dla Polaków tragicznie. Tak np. w Siedliskach koło Miechowa, żandarmi zastrzelili całą rodzinę Baranków za udzielenie schronienia Żydom. Rodziców: Wincentego i Łucję, synów – Tadeusza i Henryka oraz ich babkę Katarzynę.

Przewyciężając liczne trudności, zdołałem zebrać w różny sposób pokaźną ilość książek. Za część pieniędzy otrzymanych za pracę w spółdzielni, nabywałem je gdzie się dało i to po symbolicznej cenie. Wiele osób ofiarowało mi książki bezpłatnie. Szeroka i różnorodna była tematyka skompletowanej przeze mnie biblioteki. Znalazły się w niej dzieła czołowych pisarzy okresu pozytywizmu i Młodej Polski, a więc Orzeszkowej, Prusa, Sienkiewicza, Sieroszewskiego, Tetmajera, Reymonta, Żeromskiego, Dygasińskiego i niemal cała poezja Konopnickiej. Z twórczości literackiej okresu międzywojennego miałem powieści Morcinka, Makuszyńskiego, Wiktora i Meissnera. Nad wszystkimi zaś dominował liczebnością utworów w mojej biblioteczce Kraszewski. Zagranicznych pisarzy reprezentowały książki przede wszystkim Balzaca, Londona, Zoli, Hugo, Tołstoja, Czechowa i Dostojewskiego oraz Rabindranaha Tagore, który pociągał mnie przede wszyst-

kim opisami tajemniczości Indii. Przykuwały moją uwagę książki o tematyce historycznej, wojennej, i społeczno-politycznej. Gorąco pragnąłem poznać w czym poszczególni pisarze dostrzegali sens życia ludzkiego i jako według nich powinien być urządzony świat. Najbardziej ceniłem tych, którzy występowali w obronie pokrzywdzonych i biednych oraz piętnowali niesprawiedliwość w stosunkach między ludźmi. Z niektórych przeczytanych książek sporządzałem streszczenia i przepisywałem ciekawe fragmenty. Przewertowałem już „Starą baśń”, „Placówkę”, „Za króla Łokietka”, „Krzyżaków”, „Uciekła mi przepióreczka”, „Żółty krzyż”, „Wielcy wtajemniczeni”, kiedy pewnego wieczora pochłonęła moją uwagę książka Marii Dąbrowskiej – „Rozdroże”. W pierwszej chwili nie tyle treścią, ile licznymi uwagami, które jakiś czytelnik wypisał na marginesie niektórych stron, wypowiadając własny, odmienny sąd o rozważaniach autorki. Przeczytałem więc ją wnikliwie. Ukazując patriotyczną postawę ludności wiejskiej w obronie Ojczyzny na przestrzeni dziejów, Maria Dąbrowska zarzucała większości szlachty i obszarnictwu konserwatyzm i zacofanie, domagając się przeprowadzenia reformy rolnej w interesie nie tylko chłopów, ale i całego narodu. Obok fragmentu, w którym Dąbrowska wskazywała nie ujawnianie się starszszlacheckiej nienawiści do reformy rolnej w Polsce niepodległej, po 1918 roku, nieprzychylny jej czytelnik napisał od ręcznie: „w przekonaniu małpy Dąbrowskiej”. Inżyniera Zygmunta Chmielewskiego, na którego opinię w kwestii reformy rolnej powołuje się Dąbrowska, nazwał „oberbolszewikiem”, a prof. W. Grabskiego – „maniakiem – zakałą”, zaś Ludwika Mierosławskiego – „osłem”. Maria Dąbrowska przyznawała, że sama dźwiga na sobie grzechy własnych dziadków i pochwalała te osoby, które zrezygnowały z posiadania majątków ziemskich i przeszły do innych dziedzin pracy twórczej. Czytelnik – oponent skwitował te rozważania Dąbrowskiej dopiskiem: „niestety, sfera ziemiańska wydaje z siebie takie małpy, jak Dąbrowska”. Oczywiście byłem całym sercem po stronie autorki, tym bardziej, że w sposób niedwuznaczny sympatyzowała z ruchem ludowym i krytycznie wyrażała się o rządach sanacyjnych. Zastanawiałem się natomiast i nie mogłem zrozumieć, dlaczego w jednym szeregu „przeszłości socjalistycznej” zestawiała Mussoliniego, Hitlera i Stalina.

Zaciekawiły mnie książki: „Narodziny komunizmu” Gładkowa i „Ziemia w jarzmie” Wandy Wasilewskiej, ale najbardziej pochłonęła moją uwagę kolejna – „Mroki Średniowiecza” J. Putka. Postanowiłem niektóre fragmenty przeczytać matce, krzątającej się w kuchni: „o potwornych sądach dokonywanych w dawnych czasach na niewinnych kobietach, posądzanych o spółkę z diabłem, lub o czary”. Matka przysłuchiwała się temu z ciekawością, ale z pewnym niedowierzaniem. W pewnej chwili przerwała mi czytanie, mówiąc:

– *Kto wie, jak dawniej było. Dzisiaj przecież tego księża nie czynią. Lepiej idź do kościoła, bo już dawno tam nie byłeś. Może przystąpiłbyś do spowiedzi?*

– *Przecież w tej książce, mamo, nie ma nic przeciwko Bogu* – zauważyłem. Przyjęła moje stwierdzenie westchnieniem.

W najbliższą niedzielę wybrałem się do kościoła parafialnego w Słaboszowie. Było jeszcze dużo czasu przed sumą, więc zająłem miejsce w ławce, na wprost ambony. Kilka staruszek i staruszków powtarzało głośno modlitwę „Ojciec nasz”. Powoli kościół zapełniał się wiernymi. Z grubych murów zaciągało chłodem, a powietrze nasycił zapach parafiny z palących się świec. Pograżyłem się w myślach: *co ludzi przyciąga do kościoła? Chyba to, że czują się tutaj równi wobec siebie, że mogą tu liczyć na pociechę i pomoc duchową w nieszczęściach i zmartwieniach, na pokrzepienie, na dobre słowo i nadzieję, a podczas spowiedzi oczyścić swe sumienie z przewinień wobec Boga i ludzi. W kościele przeżywają inne nastroje niż w życiu codziennym. Słuchają muzyki, uczestniczą w modlitwie, w ogólnym śpiewie. Przyciągają ich uwagę sugestywne obrazy i dekoracje, misteria nabożeństw, nade wszystko jednakże nadzieja na życie pozagrobowe, które kościół głosi. Jakież jednak są dowody i gwarancje na istnienie życia pozagrobowego? Od najmłodszych lat, związany tak silnie z przyrodą, byłem świadkiem nieustannego pasma narodzin i śmierci zwierząt, ptaków, owadów i roślin. Czy nie jest podobne z życiem człowieka?*

Ojciec nie jeden raz przed śmiercią zapewniał nas i przyrzekał, że jeżeli istnieje życie pozagrobowe, da nam w jakiś sposób znać o tym. Minęło siedem lat od tej tragedii i jego odejście na zawsze pokrywa cisza i milczenie. Życie chyba jest nieskończonym łańcuchem, w którym wypadające ogniwa zastępowane są nowymi, ale nigdy takimi samymi...

### **W oddziale wypadowym LSB „Burza”**

Po przemianowaniu „Chłostry” w Miechowskiem, w kwietniu 1943 roku na Ludową Straż Bezpieczeństwa wydzielono z niej jednostki taktyczne BCH, podporządkowując je Armii Krajowej. Natomiast 11 gmin nie zostało objętych akcją scaleniową i utworzono w nich oddziały LSB, pozostające wyłącznie w dyspozycji Powiatowego Kierownictwa Ruchu Ludowego. Wśród nich znalazły się gminy – Raclawice, Pałecznicza i nasza – Nieszków, w których ruch ludowy był najliczniejszy i najbardziej radykalny pod względem ideowym. Nasz Oddział Wypadowy BCH – przekształcił się w Oddział LSB „Burza”, z dowódcą W.B. Pilawskim.

W pewną niedzielę, latem 1943 roku przybył do mnie człowiek w średnim wieku, lekko przygarbiony, o jasnych włosach i przedstawił się jako „Jaskółka”, skierowany do mnie przez „Wrzosa” – Szymona Dudka. Był to, jak się wkrótce potem dowiedziałem, Stanisław Szymacha z Glewa, pierwszy komendant Obwodu Miechowskiego „Chłostry”, a wówczas – komendant powiatowy BCH. Wyszliśmy na łąkę i usiedliśmy obok chaty. „Jaskółka” poinformował mnie o rozwoju podziemnego ruchu ludowego w Miechowskiem i o powstaniu nowych oddziałów BCH. Z jego słów tchnęła szczerłość i gorące oddanie się działalności konspiracyjnej. W pewnej chwili zwróciłem uwagę, jak się mężczy rozmawiając, a w pewnych mo-

mentach z trudnością oddycha. Na zapadniętych policzkach dostrzegłem niezdrowe rumieńce. Pomyślałem o zmarłym ojcu i przypomniały mi się podobne objawy chorobowe płuc. „Jaskółka” zachęcał mnie do poświęcenia się walce o interesy ludności wiejskiej i podsunął myśl, abym prowadził kronikę działalności oddziału LSB „Burza”. Uważał, że walka o niepodległość wymaga, aby wszystkie oddziały zbrojne, o charakterze taktycznym podporządkowane były dowództwu AK. Przywódcy ruchu ludowego nie obawiają się dyktatu ze strony sił nieprzyjanych, ponieważ żołnierzy BCh będą zostawiać większość w jednostkach AK, a oficerowie pochodzenia chłopskiego zajmą odpowiedzialne stanowiska na wszystkich szczeblach dowodzenia. Po jakimś czasie „Jaskółka” obiecał przybyć znowu do Janowic na rozmowę ze mną. Niestety, nie zobaczyłem go już nigdy. 10 października 1944 roku zmarł w rodzinnym Glewie na gruźlicę płuc. Pogrzeb z udziałem kilku tysięcy ludzi w Igołomi miał charakter manifestacji patriotycznej.

W połowie kwietnia 1943 roku w prasie okupacyjnej, a także przez głośniki radiowe w miastach i miasteczkach informowano o sensacyjnym odkryciu przez Niemców grobów 10 tysięcy oficerów polskich wymordowanych przez bolszewików w Katyniu. Publikowano oświadczenia, zeznania i opinie różnych osób, w tym również Polaków, którzy zdecydowali się pojechać do Katynia i zobaczyć zwłoki pomordowanych. W prasie zamieszczano obszerne relacje z przeprowadzonej ekshumacji ciał, raporty dziennikarzy, w tym również zagranicznych, ustalenia komisji PCK. Odpowiedzialnością za zbrodnię obciążyli Niemcy bolszewicką „żydokomunę”. W gronie członków naszej organizacji, jak również na zebraniach bechowców nie jeden raz dyskutowaliśmy na ten temat. I chociaż niektórzy mieli wątpliwości co do sprawców tej zbrodni, zdecydowanie przeważała wówczas opinia, że dokonali jej hitlerowcy, a rozpętali propagandę przeciwko „żydokomunie” dla wywołania wrogości, a co najmniej nieufności Polaków wobec ZSRR. Zdaniem H. Jarosa „Wilsona”, Niemcy zmierzali w ten sposób do zerwania porozumienia między Sikorskim i Stalinem oraz do skłócenia koalicji antyhitlerowskiej. Inni upatrywali w nagonce hitlerowskiej przeciwko ZSRR próby odwrócenia uwagi od niepowodzeń armii hitlerowskiej na frontach wschodnim i zachodnim. Wówczas nie mieściło się nam w głowie, aby zbrodni katyńskiej dokonali nasi sąsiedzi ze wschodu, w dodatku Słowianie.

Boleśnie przeżyliśmy tragiczną śmierć gen. W. Sikorskiego, premiera Rządu Emigracyjnego w Londynie, który zginął w katastrofie lotniczej nad Gibraltarem, w lipcu 1943 roku, patrona naszej organizacji. Przeważała wśród nas opinia, że śmierć Wielkiego Polaka-Patrioty, premiera i dowódcy nie była przypadkowa. Dla niektórych polityków na emigracji stał się niewygodnym, inni chcieli zająć jego miejsce. Czy nie był to tragiczny finał walki o władzę i przyszły kształt ustrojowy Polski?

Wrz z niepowodzeniami na frontach wojennych władze okupacyjne w Generalnym Gubernatorstwie wzmagaly terror i usilowaly krwawo zdlawic ruch oporu, coraz



wyraźniej przekształcający się w akcje sabotażowe i działania partyzanckie. W okolicach Książa Wielkiego, zwłaszcza w obszarze leśnym „Chrusty”, przez który biegnie na kilkumetrowym odcinku ważna trasa komunikacyjna Kraków – Warszawa, różne grupy partyzanckie organizowały zasadzki i przeprowadzały akcje wypadowe na przejeżdżające samochody ciężarowe i osobowe z Niemcami. Jednostki represyjne okupanta odpowiadały krwawymi odwetami za te zamachy, przede wszystkim na ludności cywilnej, wykorzystując w tym celu każdy pretekst. Tak np. dla rozprawienia się z rzekomymi „bandytami” 18 października 1943 roku oddział żandarmerii niemieckiej i policji granatowej rozstrzelał we wsi Maciejów Nowy 12 mieszkańców, mężczyzn i kobiety w wieku od 21 do 35 lat. Zupełnie niewinnym osobom, nie należącym do żadnej organizacji zadawano śmierć strzałami w tył głowy.

Od siostry Domiceli dowiedziałem się, w połowie 1943 roku, o nieszczęściu, jakie spotkało jej koleżankę ze Szkoły Handlowej w Działoszycach, Gabrięłę Kitównę z Drożejowic koło Skalbmierza. Niemcy zastrzelili jej ukochanego ojca, co pograżyło ją w bezgranicznej rozpacz. Wysłałem doń list z wyrazami głębokiego współczucia. Odpisała z wyrazami szczerzej wdzięczności. Tak nawiązała się między nami korespondencja, która przerodziła się w przyjaźń. Późną jesienią 1943 roku otrzymałem zaproszenie, aby ją odwiedzić. Przyjęła mnie z matką w ubogim domku, z serdecznością i otwartością jakbyśmy znali się już od lat. Gabrysia otrząsała się powoli z załamania i jedynym jej pragnieniem było prowadzić walkę z okupantem hitlerowskim. Wówczas dowiedziałem się o szczegółach tragedii jaka spotkała ją i matkę.

Ojciec Gabrieli, Stefan Kita, poświęcał się bez reszty działalności politycznej przed wojną, kierując komórką Komunistycznej Partii Polski w gminie Boszczynek na ziemi pińczowskiej. W domu panowała bieda, a jedyne źródło utrzymania trojga osób stanowiła pasieka. W okresie młodości S. Kita wyemigrował do Niemiec, a następnie do Francji w poszukiwaniu pracy i chleba. Tam zetknął się z rewolucjonistami. W 1922 roku powrócił do kraju i wstąpił do KPP. Aresztowany dwa lata później, po wyroku sądowym został osadzony w więzieniu chęcińskim koło Kielc. W następnych latach więziony był w Kielcach i Piotrkowie. W trudnych czasach pomagali Gabrysi i jej matce przyjaciele ojca z Francji, a czasami przysyłała paczki z żywnością i odzieżą Stefania Sempołowska. Od pierwszych miesięcy okupacji niemieckiej organizował lewicowy ruch oporu, a następnie Polską Partię Robotniczą i tylko od czasu do czasu pojawiał się ukradkiem w domu. 1 maja 1943 roku niespodziewanie żandarmi otoczyli domek Kitów i wyprowadzili ojca Gabrysi na pobliską łąkę. Na kolanach, zanosząc się płaczem z rozpacz, błagała aby darowano mu życie. Byli jednak bezwzględni i zastrzelili go na miejscu. Miałem przy sobie kilka pisemek konspiracyjnych, które przekazałem Gabrysi. Raz, czy dwa razy jeszcze odwiedziłem Gabrysię, podtrzymując ją i matkę na duchu.

W pierwszych dniach stycznia 1944 r. otrzymałem pismo o wytypowaniu mnie na dwutygodniowy kurs dla kierowników spółdzielni spożywców w Szycach. Od

21 lipca 1942 roku uczestniczyłem drogą korespondencyjną w realizacji programu spółdzielczych kursów, prowadzonych przez Związek Spółdzielni Spożywców „Społem” w Krakowie, z siedzibą na ul. Grażyny 13, uzyskując wysokie oceny z opracowań tematycznych.

Kurs w Szycach rozpoczął się 27 lutego i trwał do 11 marca 1944 roku. Od pierwszych dni zajęć wyczuwało się gorącą, patriotyczną atmosferę, zarówno wśród kursantów, jak i wykładowców, którzy zwłaszcza na lekcjach ze spółdzielczości, towaroznawstwa, a przede wszystkim języka polskiego, budzili w nas wiarę w odzyskanie niepodległości. W wolnych chwilach, w gronie zaprzyjaźnionych chłopców i dziewcząt dzieliliśmy się doświadczeniami z działalności konspiracyjnej. Aktywnie uczestniczyłem w zajęciach świetlicowych, organizowanych w godzinach wieczornych. Wówczas napisałem dwa, czy trzy wiersze o tęsknocie za wolnością i nadziei na jej odzyskanie, a także o miłości do ojczystej przyrody. Jeden z nich deklamowałem w ramach uroczystego zakończenia kursu. Burzą oklasków przyjęliśmy przemówienie popularnego pisarza, Jana Wiktora, który w gorących słowach wyraził wiarę w powstanie wolnej Polski, matki chłopów i robotników. Po zakończeniu części oficjalnej poprosił mnie na rozmowę w cztery oczy.

– *Pamiętajcie, kolego* – akcentował – *wiersze powinny odzwierciedlać nie tylko smutek z powodu utraty wolności, ale przede wszystkim zagrzewać obecnie do czynu.*

Przez kilkanaście minut rozmawialiśmy o życiu mieszkańców na wsi miechowskiej, o postawie ludności wobec okupanta, o nastrojach patriotycznych wśród młodego pokolenia chłopów. W końcowej części tej szczerzej wymiany opinii wyraziłem wybitnemu pisarzowi uznanie i podziękę za książki, nowele i broszury jego autorstwa, które wywierały duży wpływ na kształtowanie się mojej postawy politycznej i światopoglądowej.

Jego utwory – „Burek”, „Gołębie przy kościele”, „Srogi pies i sentymentalny zając”, czytałem jeszcze przed wojną ze łzami w oczach. Losy zwierząt jawiły mi się wówczas jak losy ludzi, nieszczęśliwych, wyzyskiwanych i ponizanych, wołających o sprawiedliwość. Podobnie z zapartym tchem spędzałem wieczory i noce nad jego legendą o grajku bożym i powieścią – „Tęcza nad sercem”. Jan Wiktor ukazywał bowiem z ogromnym znawstwem taką wieś, jaką i ja znałem, małopolską, pełną nędzy i zacofania, tragedii rodzinnych i osobistych ale również buntowniczą, zmierzającą do przebudowy stosunków społecznych. Potępiał obszarników i innych bogaczy, odżegnywał się od fanatyzmu religijnego, współczuł ludziom nieszczęśliwym i poniewieranym. Łączyła mnie poza tym z J. Wiktorem gorąca miłość przyrody i przywiązanie do tradycji oraz obyczajowości wiejskiej. W czasach gimnazjalnych wertowałem namiętnie jego „Wierzyby nad Sekwaną”, „Na paryskim bruku”, a w pierwszych latach okupacji kolejną, zdobytą książkę J. Wiktora – „Błogosławiony chleb ziemi czarnej”.

Pod niewątpliwym wpływem rozmowy z J. Wiktorem w Szycach, postanowiłem wydać lokalnie pisemko konspiracyjne. Przystąpiłem do realizacji tego za-

daniam, gdy zastępca komendanta Ludowej Straży Bezpieczeństwa na gminę Nieszaków, Władysław Dąbrowski – „Kos”, przekazał mi maszynę do pisania. W domu Bolesława Chorynia w Janowicach redagowałem i powieślałem kilkustronicowy „Bunt młodych”. W pierwszych numerach próbowałem nakreślić obraz stosunków społecznych i gospodarczych w przyszłej Polsce. Przeważały w nich założenia spółdzielcze, co wiązało się wówczas z moimi przekonaniem o słuszności tej idei samorządności i ruchu obrony przed kapitalistycznym wyzyskiem.

## **Mordy bratobójcze ciosem we wspólny front walki**

Zygmunt Madetko ze wsi Cyprianów, wywodzący się z biednej rodziny chłopskiej, przez jakiś czas przed wojną pracował w Zagłębiu Dąbrowskim. W 1939 roku walczył w obronie Ojczyzny jako czołgista i dostał się do niewoli niemieckiej, z której udało mu się zbiec. Proponowano mu wstąpienie do ZWZ, ale zajął się organizowaniem „Chłostry”, a następnie został bechowcem w oddziale LSB „Burza”. Jak się dowiedziałem później, w 1942 roku nawiązał on kontakt z Henrykiem Szczepańczykiem i Stanisławem Gołąbem z Nieszakowa, którzy współpracując z utworzoną w Zagłębiu Dąbrowskim Polską Partią Robotniczą, zamierzali ją zawiązać również w rejonie Słaboszowa i Raławic.

22 kwietnia 1944 roku, Stanisław Gołąb i Stanisław Szczepańczyk przybyli na plebanię do księdza proboszcza w Słaboszowie, do którego wcześniej zwrócili się o dobrowolną dotację pieniężną na działalność podziemną. Tam zostali zatrzymani i obezwładnieni przez patrol z plutonu AK „Jaksy” (dowodził nim ppor. rez. Wojciech Majewski, miejscowy nauczyciel), a następnie, bez żadnego sądu, rozstrzelani poza wsią, za działalność komunistyczną. Wcześniej, pod koniec marca Stanisław Gołąb, zaskoczył i rozbroił niemieckiego oficera Wehrmachtu, na stacji kolei wąskotorowej w Słaboszowie.

W czwartym dniu, po zabiciu Gołąba i Szczepańczyka, 26 kwietnia, Zygmunt Madetko, ps. „Migłanc”, żołnierz oddziału LSB „Burza” powracający przed północą w towarzystwie kolegi z narady z przedstawicielami ruchu ludowego w Raławicach, został napadnięty na polnej drodze między wsiami – Kropidłem i Raszówkiem przez grupę patrolową z plutonu AK „Jaksy” i „Olgiarda” (ppor. rez. Józefa Malary) z udziałem Wawrzyńca Kobyłca. Zarzucono mu działalność komunistyczną i „zdradę” wykonując na nim wyrok śmierci.

Nie tylko bechowcy i ludowcy, ale i ludność w gminie Nieszaków została wstrząśnięci tymi mordami, które nabrały szerokiego rozgłosu. W tej sytuacji osoby nie związane z „Jaksą” i „Olgiardem” usiłowały usprawiedliwiać mordy bratobójcze jako „walkę z bandytyzmem”. Niewielu mogło dać temu wiarę, gdyż rozstrzelanym takiego zarzutu i winy nie można było postawić, a zabójstwa coraz wyraźniej jawiły się jako krwawe rozprawy o charakterze politycznym. W tej sytuacji grupa bechowców na czele z B. Pilawskim „Burza” udała się do Szymona Dudka „Wrzosa”, aby domagał się przeprowadzenia śledztwa, ukarania winnych

i zaprzestania zamachów na życie kolegów, w przeciwnym razie dojdzie do odwetu za śmierć Z. Madetki. Szymon Dudek był wówczas kierownikiem Straży Samorządowej w Powiatowej Delegaturze Rządu i oficerem do specjalnych zleceń dowódcy tzw. „106 Dywizji AK” mjr. „Bolko” (Bolesława Ostrowskiego). Plutony AK „Jaksy” i „Olgierda” wchodziły w skład „Batalionu Szturmowego” tej dywizji, którym z kolei dowodził major „Ponar” (Antoni Iglewski), będący III zastępcą mjr. „Bolko”. Dudek „Wrzos” nie wierzył w żaden „komunizm” i „bandytyzm” Madetki i przyrzekł niezwłocznie w tej sprawie interweniować, ale jednoznacznie sprzeciwiał się myśli o odwecie.

Działacze ludowi i komendanci BCh, wywodzący się z tradycji rewolucyjnych walk przeciwko sanacji, nie mogli się pogodzić z faktem obsadzenia główniejszych stanowisk w AK przez osoby związane, albo sympatyzujące z sanacją i endecją. Nie mógł też zadowolić i uspokoić radykalnie nastawionych bechowców artykuł wstępny, zamieszczony w pierwszych dniach marca 1943 roku w „Żywią i bronią”: pt.: „Zarys historii chłopskiego ruchu konspiracyjnego”. Po przeczytaniu tego artykułu doszliśmy do wniosku, że u jego podstaw leżą złudzenia. Oto co m.in. pisali autorzy tego artykułu: „Po dwóch latach samodzielnej pracy niepodległościowo-wojskowej, zgodnie z wolą Naczelnego Wodza należycie już sformułowane szeregi bojowe oddaliśmy w styczniu 1943 roku pod rozkazy Naczelnego Kierownictwa Sił Zbrojnych w Kraju. Od tej chwili podlegają one jednolitemu rozkazodawstwu i jednolitemu systemowi szkolenia wojskowego. Organizacja nasza poprowadzi samodzielnie pracę ideowo-wychowawczą wśród swych szeregów na terenie całego kraju. Z zasad ideologii ludowej żadną miarą nie zrezygnujemy. Nie pozwolimy, by kto inny miał te zasady ustalać. Mamy bowiem, według nas, najsluszniejsze pretensje, by w przyszłości duchem idei ludowej przepoić całą Armię Polską”.

Chłopów dotkliwie gnębiły tzw. biura targowników, prowadzące na użytek władz niemieckich skrupulatną ewidencję żywego inwentarza. Księgi kontyngentowe określały bowiem wysokość obowiązkowych dostaw mięsa z każdego gospodarstwa wiejskiego. Ponieważ biuro targownika w Działoszycach dawało się szczególnie we znaki, pod koniec maja 1944 roku postanowiliśmy go zlikwidować. Znalazłem się w grupie sześciu bechowców, którzy otrzymali to zadanie. Musieliśmy dokładnie przemyśleć całą akcję i działać ostrożnie, ponieważ w mieście kwaterował silny posterunek żandarmerii, policji granatowej i własowców [rosyjscy lub ukraińscy żołnierze z Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej dowodzonej przez gen. Andrieja Własowa, współpracującej z hitlerowcami]. Zaskoczenie zatrudnionych w biurze pracowników udało się całkowicie i z worami na plecach wysunęliśmy się z miasta, przez rzekę Nidzicę zanurzyliśmy się w łany zbóż. Wieczorem, kiedy poinformowani o zabraniu ksiąg kontyngentowych i uzupełniających je setek różnych załączników, żandarmi biegali po miasteczku jak wściekli, w wielkim chlebowym piecu u bechowca Henryka Kiśla w Nieszkowie, paliła się „świńska i krowia rejestracja”.

Niestety interwencje „Wrzosa” okazały się nieskuteczne, widocznie major „Bolko” nie był w stanie ukrocić samowoli „Jaksy” i Olgierda”, gdyż za kilka tygodni dokonali oni kolejnych mordów bratobójczych. 16 lipca 1944 roku Bolesław Ciemierz „Cienki”, pierwszy komendant „Chłostry” w gminie Nieszków, a następnie zastępca komendanta LSB w tejże, został uprowadzony z domu we wsi Kropidło przez grupę z plutonu „Olgierda” i zastrzelony tegoż dnia pod zarzutem nawiązania kontaktu z PPR. Zwłoki jego zakopano w polu, ale po jakimś czasie ekshumowano i pochowano na cmentarzu w Słaboszowie. Jego śmierć przeżyłem boleśnie, gdyż Bolek był naszym kuzynem ze strony ojca i nieraz odwiedzał go w Janowicach. Przed wojną należał do „Wici” i Stronnictwa Ludowego. Służbę wojskową odbył w 9 Pułku Ułanów w Trębowlu i zakończył ją w stopniu kaprała. W drugiej dekadzie lipca zastrzelony został również w Kropidle, przez patrol plutonu „Olgierda”, Roman Łyko „Robak”, za przynależność do PPR. Przez jakiś czas pracował on w Zagłębiu Dąbrowskim w charakterze hutnika i ślusarza. 14 lipca Daniel Knafel i Piotr Zmarzlik, żołnierze BCH z Gór Miechowskich uprowadzeni przez patrol „Olgierda”, skonali po pobiciu ich do nieprzytomności w lesie, za postawę radykalną w ruchu ludowym. Ciała zamordowanych z takim okrucieństwem zakopano w lesie. Ofiarą bratobójczych mordów padali również bechowcy i żołnierze LSB w innych gminach, np. na obszarze Raclawic, gdzie wstawiał się oddział LSB „Ryszarda” – Tadeusza Jędrucha, a z którym współpracowaliśmy. W lipcu Władysław Komenda i Józef Prześlita z Wrocimowic, żołnierze oddziału „Ryszarda”, wysłani do powiatu pińczowskiego dla nawiązania kontaktu z Józefem Maślanką, dowódcą słynnego oddziału BCH, zatrzymani pod Sancygniowem przez patrol oddziału ochrony dowództwa „106 DP AK”, mimo posiadanej hasła zostali rozstrzelani. Zwłoki ich zakopano w polu.

Ktoregoś dnia, pod koniec lipca wezwał mnie do siebie Szymon Dudek „Wrzos” i polecił udać się z meldunkiem do Przybysławic, gdzie mieszkał działacz ludowy, Stanisław Nowak, ps. „Klin”, członek trójki powiatowej SL ROCh. Ponieważ w tym właśnie czasie odbywało się u niego zebranie działaczy powiatowego kierownictwa SL i BCH, uczestnicząc w nim w charakterze obserwatora, mogłem się bliżej zorientować, jak niektóre kwestie łączyły a inne dzieliły dyskutantów. Wszyscy podkreślali potrzebę współdziałania z Armią Czerwoną, ale niektórzy – tylko w zakresie „czysto wojskowym”. Potępiono zdecydowanie mordy bratobójcze dokonywane przez plutony AK „Jaksy” i Olgierda” i przyjęto do wiadomości informację o wszczęciu dochodzenia w tej sprawie. Wśród obecnych na tym zebraniu tylko dwie [osoby] były mi już wcześniej znane – Józef Guzik „Marek”, komendant powiatowy LSB i Franciszek Książek „Wawel”, komendant IV Podobodu LSB. Obydwaj reprezentowali radykalny ruch chłopski. Matka Guzika była z pochodzenia chłopką, ojciec robotnikiem, działaczem PPS-Lewicy. W 1937 roku brał udział w kwietniowej manifestacji chłopskiej w Raclawicach, a w dwóch następujących latach odbył służbę wojskową w 51 Pułku Piechoty w Brzeżanach i w stopniu

kaprala walczył na froncie przeciwko najeźdźcom hitlerowskim. Franciszek Książek, absolwent miechowskiego gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki, przed wojną działał w organizacji „Siew”, a następnie „Wici”. Po ukończeniu służby wojskowej w stopniu kaprala w 2 Pułku Strzelców Podhalańskich, dostał się podczas walk pod Stryjem do niewoli niemieckiej, skąd udało mu się zbiec i przybyć do rodzinnych Pstroszyc. Tu w 1940 roku związał się z ZWZ, a w następnym roku wstąpił do SL „Roch”.

W miarę zbliżania się ofensywy Armii Czerwonej do linii Bugu i Wisły, coraz więcej przez Miechów przejeżdżało pociągów z rannymi żołnierzami Wehrmachtu z frontu wschodniego, zwiastującymi zbliżającą się klęskę hitlerowskich Niemiec. Na zapleczu okupant usiłował utrzymywać władzę i stosował coraz ostrzejsze środki przemocy i terroru. 9 czerwca 1944 roku gestapowcy zastrzelili oficera AK, Władysława Terleckiego ps. „Strzał”, jedyne go syna profesorki języka francuskiego w miechowskim gimnazjum. 30 czerwca w ręce żandarmerii niemieckiej wpadł w Górach Miechowskich, wuj Michał Gass. Dotkliwie pobitego przewieziono do Montelupich [więzienie gestapo] w Krakowie, a następnie do obozu koncentracyjnego w Gross Rosen, gdzie go rozstrzelano. Miał wtedy 43 lata. 7 lipca ekspedycja karna, złożona z żandarmów, policji granatowej i kryminalnej zastrzeliła trzech młodych żołnierzy BCh w rejonie Raclawic – Szczepana Byka, Stefana Dejworka i Franciszka Koziola, we wsi Zagórzany (kolebce ruchu bechowskiego w gminie Nieszków), zastrzelili 11-letniego Zygmunta Czekaja i 26-letniego Wajdę, w Słaboszowie Bronisława Gołę „Szafrana”, organizatora ZWZ, a następnie komendanta placówki AK „Sarna”, a w pobliżu Rzemieździc gajowego Stanisława Szarka, należącego do BCh. Śmierć „Szafrana” dotknęła i nas boleśnie. Komendant „KDiGS” H. Jaros „Wilson” utrzymywał z nim kontakty i twierdził w rozmowie ze mną, że Gola coraz wyraźniej skłaniał się do współpracy z ruchem ludowym i krytycznie odnosił się do aktów samowoli ze strony „Jaksy”, „Olgerda” i „Wiernego”.

### **Krzepiące i gorzkie doświadczenia z okresu „Partyzanckiej Republiki Miechowsko-Pińczowskiej”**

W obliczu narastającej ofensywy armii radzieckich na całym froncie wschodnim, na całym prawie obszarze powiatów – miechowskiego i pińczowskiego, zaczęły się spontaniczne i masowe wystąpienia partyzantów, zapoczątkowane 24 lipca 1944 roku rozbrojeniem przez oddział LSB „Ryszarda” – Tadeusza Jędrucha, tuż przed północą, 18-osobowej załogi posterunku policji granatowej w Raclawicach, z komendantem niemieckim – Kupperem. Nocą z 25 na 26 lipca oddział BCh im. Bartosza Głowackiego, pod dowództwem Tomasza Adrianowicza „Pazura”, nauczyciela, z pomocą miejscowych bechowców i akowców, zmusił do kapitulacji silnie umocniony posterunek żandarmerii i policji granatowej w Działoszycach. 26 lipca żołnierze AK i BCh rozbroili w Skalbmierzu Stutzpunkt. Natomiast na obszarze powiatu pińczowskiego do podobnych akcji przystąpili partyzanci Armii

Ludowej, BCH i AK. W ten sposób, zryw partyzancki, znaczony sukcesami rozbrajania załóg niemieckich, policji granatowej i własowców, ale i własnymi startami w ogniu walk i potyczek prowadził do powstania słynnej „Republiki Partyzanckiej” na obszarze ziemi miechowskiej i pińczowskiej, której dzieje wyczerpująco opisali historycy. Wśród wielu pozycji na ten temat bezsprzecznie wyróżnia się naukowa monografia Władysława Ważniewskiego, *Walki partyzanckie nad Nidą 1939–1945*, Wyd. MON, Wyd. II, Warszawa 1975.

Punktem szczytowym partyzanckiego zrywu w południowo-wschodniej części powiatu miechowskiego było opanowanie Proszowic 1 sierpnia przez oddziały LSB-BCh, AK i Gwardii Ludowej PPS.

Wydawało się, że współdziałanie partyzantów niemal wszystkich formacji pod koniec czerwca i lipca 1944 roku prowadzić będzie do zaniechania mordów bratobójczych na tle politycznym. Niestety, tak się nie stało. 1 sierpnia patrol z plutonu „Olgierda” uprowadził z Janowic Zygmunta Kijewskiego, zbiegłego z żoną i dwojgiem dzieci z Zagłębia Dąbrowskiego przed aresztowaniem przez gestapo. Mieszkając kątem u jednego z gospodarzy, utrzymywał się z pracy rąk i był powszechnie szanowany. Pod zarzutem prowadzenia „agentury komunistycznej”, zastrzelono go w lesie koło Rzemieździc. W tymże miesiącu zginął z rąk patrolu oddziału AK, oskarżony o przekazywanie bechowcom broni złożonej do naprawy Mieczysław Płatek z Giebułtowa, rusznikarz.

Pod koniec lipca w Słaboszowie wyłoniły się dwa ośrodki władzy. W budynku szkoły podstawowej powstał posterunek Ludowej Straży Bezpieczeństwa na bazie naszego oddziału na czele z Bronisławem Pilawskim „Burza” i Szymonem Dudkiem „Wrzos” – szefem politycznym. Oprócz bechowców, pod broń zaciągnęło się jeszcze kilkadziesiąt osób, przeważnie spośród młodzieży. Henryk Jaros „Wilson” został dowódcą plutonu BCh w Janowicach. Dość często pełniłem służbę patrolową na kolei wąskotorowej. Kiedy 27 lipca wsiedliśmy w umundurowaniu i uzbrojeniu do wagonu na stacji w Janowicach, jakaś kobieta ze łzami w oczach zawiesiła mi na szyi złoty łańcuszek. Najdroższą pamiątkę, jak zaznaczyła, po mężu poległym w 1939 roku, a artysta malarz, Kwiatkowi, wręczył mi naprędce wykonaną podobiznę z podpisem: „Żołnierzowi polskiemu na pamiątkę – 27 VII 1944”.

Natomiast w budynku Zarządu Gminy w Słaboszowie usadowiło się dowództwo Placówki AK „Sarna”, a rej w niej wodzili „Wierny”, „Jaksa” i „Olgierd”. Choć nad budynkiem powiewała, tak jak nad naszym posterunkiem, białoczerwona flaga, nie doszło między nami do porozumienia i współdziałania. Mordy dokonane na członkach BCH i osobach podejrzanych o „agenturę komunistyczną” i przynależność do PPR, wytworzyły atmosferę obcości i przeciwstawności.

29 lipca rozeszła się wiadomość o powstaniu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego w Chełmie i pojawiły się odezwy tegoż z podaniem składu nowego „rządu”. Niezwłocznie przekazywaliśmy ją z rąk do rąk. Największe wrażenie wśród chłopów wywarła obecność w nim Andrzeja Witosa w randze wiceprze-

wodniczącego Komitetu i jednocześnie ministra rolnictwa i reform rolnych, brata słynnego Wincentego Witosa. Po południu trąbką strażacką zwołano ludność na wiec w Janowicach. Na plac obok stacji kolei wąskotorowej przybyło blisko dwa tysiące osób. Umundurowani i uzbrojeni przemówiliśmy z Henrykiem Jarssem „Wilsonem” do nich, zapowiadając rychłe wyzwolenie Polski przez armie radzieckie, u boku których walczy również Wojsko Polskie, powstałe w ZSRR. Najwięcej czasu poświęciłem zapowiadanej przez PKWN reformie rolnej, o której chłopcy marzyli od dziesiątków lat. Po nas zabrał również głos sołtys, Tadeusz Biały, działacz konspiracyjnego Stronnictwa Ludowego. Zgromadzonych ogarnęła radość w obliczu zbliżającej się klęski hitlerowskich Niemiec. Wznoszono okrzyki na cześć Wojska Polskiego i Armii Czerwonej, a wiec zakończył się donośnym odśpiewaniem hymnu narodowego.

Odnosiliśmy wrażenie, że władze okupacyjne z szefem miechowskiego gestapo SS-Unterstumfuhrerem Philipem Riediengerem, nie doceniały z początku rozmiaru wystąpień partyzanckich. W warunkach zbliżającego się frontu i ogólnego rozprężenia, zamieszania i paniki w terenowych ogniwach administracji okupacyjnej i rozbrajania coraz to nowych posterunków żandarmerii, policji granatowej i własowców, Riedienger postanowił wzmocnić jednostki policji niemieckiej i formacje obcokrajowców w Miechowie, Słomnikach i Książu Wielkim. W budynku gimnazjalnym w Miechowie zakwaterował sztab jednostki własowców pod dowództwem gen. Chartowa. Natomiast dowództwo „106 DP AK” zdecydowało tworzyć na obszarze „partyzanckiej republiki” ośrodki administracji podporządkowane rządowi emigracyjnemu w Londynie, przed nadejściem Armii Czerwonej. Nie brano jednak pod uwagę, że wystąpienia antyniemieckie przyjmowały coraz bardziej również charakter polityczny, radykalno-ludowy. Mimo więc, że dochodziło, zwłaszcza w walce, do współdziałania wszystkich niemal formacji partyzanckich, powstawała dwuwładza na obszarach uwolnionych od okupacyjnej administracji.

Rozbieżności między działaczami ruchu ludowego i dowódcami oddziałów BCh – LSB, a Inspektorem Miechowskim AK pogłębiły się, kiedy przeniknęły do ruchu konspiracyjnego, a zwłaszcza do szeregów partyzantów, informacje o potajemnych spotkaniach niektórych oficerów AK z oficerami niemieckimi, i że szef niemieckiego gestapo P. Riedinger chce się spotkać z przedstawicielami AK dla omówienia pewnych propozycji. Jako orędownika nawiązania bezpośrednich rozmów ze stroną niemiecką wymieniono w szczególności oficera „Kmitę” – szefa żandarmerii „106 DP AK” (Henryk Wielguta), zastępcę dowódcy grup dywersyjno-partyzanckich w Inspektoracie Miechowskim. Podporucznik rezerwy, w pierwszych latach okupacji zatrudnił się w Związku Plantatorów w Proszowicach.

Jak podawał mjr. Bolesław Ostrowski „Tysiąc”, inspektor miechowski AK w meldunku sytuacyjnym 2 sierpnia 1944 roku, szef bezpieczeństwa na powiat miechowski, Riedienger, nawiązał z AK pertraktacje w obliczu wystąpień o charakterze powstańczym, zwracając się o trzydniowy rozejm. W następstwie tej ini-



cyjatywy, bez uzgodnienia z Inspektorem Miechowskim AK, Antoni Iglewski „Ponar” – dowódca batalionu szturmowego 106 DP AK (trzeci zastępca „Tysiąca”), wyraził zgodę na spotkanie ze stroną niemiecką. Podczas tych rozmów Niemcy wyrazili chęć wzajemnej wymiany jeńców, współpracy w zwalczaniu band, gotowość nie zatrzymywania w okresie rozejmu żołnierzy AK, nawet z bronią, wycofanie jednostki ukraińskiej z Bukowskiej Woli i Miechowa. W zamian Niemcy żądali: nieprzeszkadzania władzom terytorialnym w urzędowaniu, w budowie umocnień, lotnisk i fortyfikacji, zaprzestania likwidacji Niemców i wydania broni i sprzętu zabranego im przez AK.

W świetle zeznań sądowych Riedengiera po wojnie, spotkania te miały przebieg następujący. Pierwsze z nich odbyło się w dworku Marii Mołędzkiej w Bukowskiej Woli. Stronę niemiecką reprezentowali – starosta Alfons Kalpers, Riedienger oraz szef gospodarczy starostwa Saube. W imieniu AK rozmowy prowadzili oficerowie: „Kmita”, „Jaksa”, a także jakaś trzecia osoba. Polacy zaproponowali, aby formacje niemieckie wstrzymały się z poszerzaniem zajmowaniem opuszczonych wcześniej obszarów powiatu do czasu uregulowania spraw w drodze pertraktacji z polskim ruchem oporu. Ponieważ przedstawiciele władz okupacyjnych nie mieli żadnych pełnomocnictw do podejmowania decyzji, zdecydowano ewentualne prowadzenie rozmów po poinformowaniu władz nadrzędnych i uzyskaniu od nich zgody. „Kmita” miał wobec tego pozostawać w kontakcie z przedstawicielami władz niemieckich w Miechowie. Po trzech, czterech dniach komendant policji i służby bezpieczeństwa w Krakowie, upoważnił do dalszego prowadzenia rozmów z przedstawicielami polskiego ruchu oporu, kapitana SS Hamanna. „Kmita” odpowiedział pozytywnie, podając miejsce i czas następnych rozmów. Odbyły się one 31 lipca 1944 roku w majątku Dziemięrzyce koła Raławic. Tym razem w trzyosobowej delegacji niemieckiej znaleźli się: kpt. Hamann, Riedienger, jakiś porucznik SS i tłumacz. Przedstawiciele AK w składzie jak podczas spotkania w Bukowej Woli. Wysłuchali oni następujące żądania: wycofanie jednostek niemieckich i obcokrajowych formacji z Miechowa, Słomnik i okolic, zawieszenie wszelkich działań ze strony gestapo i niemieckich jednostek policyjnych przeciwko AK, uwolnienie członków AK, głównie oficerów i inteligencji więzionych przez Niemców. Jeżeli władze niemieckie przyjmą te postulaty, AK zawiesi działalność przeciwko nim. Z kolei kpt. Hamann postawił następujące warunki: zaprzestanie wszelkich aktów ze strony AK, wymierzonych przeciwko Niemcom, przekazanie władzom okupacyjnym skoczków i agentów radzieckich, więzionych przez AK. Ponieważ obie strony nie były upoważnione do podejmowania ostatecznych decyzji pisemnej umowy nie sporządzono, gdyż propozycje te i wnioski musiały być jeszcze przedstawione do zaakceptowania przez czynniki nadrzędne.

Ponieważ rozmowy w Dziemięrzycach ubezpieczał pluton „Jaksy”, już następnego dnia wiadomość o nich obiegła okolicę, wywołując zaskoczenie, zdenerwowanie i oburzenie, wiele domysłów i komentarzy. Chociaż dokładnie nie

znano celu i treści rozmowy w Dziemięrzycach, powstała wokół nich atmosfera najprzeróżniejszych podejrzeń, a w stosunku do „Kmity” i „Jaksy” pogłębiła się nieufność, a nawet wrogość, zwłaszcza wśród bechowców.

Wybuch powstania w Warszawie wywołał olbrzymie poruszenie wśród ludności. Wszędzie dopytywano się o wiadomości z przebiegu walk w stolicy, gorączkowo zastanawiano się nad tym jak pomóc walczącym. Rodziły się pomysły, aby małymi grupami przedzierać się w kierunku Warszawy. Inni byli zdania, że dla odciążenia walczącej stolicy, należy wzmocnić walkę z Niemcami, właśnie na obszarach ziemi krakowskiej i kieleckiej. Wielu liczyło na bezpośrednią pomoc dla powstańców Warszawy ze strony aliantów, na masowe zrzuty broni, amunicji i żywności, a jednocześnie na zmasowane bombardowanie Niemiec i spotęgowanie działań na froncie zachodnim.

W powielaczowym piśmie AK „Znak”, wydawanym w Ilkowicach, już od pierwszych dni powstania w Warszawie, zaczęły się pojawiać ataki na PKWN, na Wojsko Polskie sformowane w ZSRR, jako „agentury Moskwy” i usiłowano podtrzymać przekonanie, że alianci zachodni nie dopuszczą do uchwycenia władzy przez komunistów na wyzwolonych terenach spod okupacji niemieckiej, gdyż za jedynie legalny uznają polski Rząd Emigracyjny w Londynie. Nastroje jednak ludności wiejskiej, kształtowały się przede wszystkim pod wpływem wydarzeń na froncie wschodnim: armie radzieckie, a wraz z nimi jednostki Wojska Polskiego docierały już do Wisły, a siły aliantów zachodnich znajdowały się daleko, na obszarze Francji.

30 lipca wpadł w zasadzkę niemiecką w Kalinie Małej behowiec Wiktor Włoch z Janowic, prawie mój rówieśnik. Zgłosił się na ochotnika, aby rozpoznać tam teren, zwłaszcza z uwagi na wałęsających się własowców, nękających ludność. Jadąc na rowerze z pistoletem za pasem, nie zatrzymał się na wezwanie i został zastrzelony serią z automatu. Zwłoki Wiktora koledzy zabrali nocą do rodzinnego domu w Janowicach, a 2 sierpnia odbył się jego pogrzeb o charakterze manifestacyjnym. Mimo ulewnego deszczu wzięły w nim udział setki osób. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, ludność demonstrowała patriotyczną postawę, a młodzież niosła dziesiątki wieńców. „Wilson” i ja, w mundurach wojskowych, poprzedziliśmy konno kondukt żałobny. Przed i w kościele, w Słaboszowie, przyłączyły się do uroczystości pogrzebowych dziesiątki osób z okolic, a wartę przy trumnie pełnili żołnierze z oddziału LSB „Burza”. Przybyła też delegacja miejscowej AK. Na cmentarzu w kilku przemówieniach przejawiała się niezłomna wiara w odzyskanie niepodległości i padały ostre słowa pod adresem bestialstw ze strony okupanta.

## **Faszystowskie bestialstwa i kolejne mordy bratobójcze.**

Władze niemieckie w Krakowie i Miechowie nie traktowały na serio spotkań z niektórymi przedstawicielami AK. Być może rozmowy w Bukowskiej Woli i Dziemięrzycach, gdy utraciły łączność z kilkunastoma Stutzpunktami i posterun-

kami, pozwoliły im lepiej zorientować się o zasięgu i możliwościach polskiego ruchu oporu, z drugiej strony, mogły rozbudzić u części członków AK nadzieje, co do możliwości utrzymania obszaru „republik” pod własną administracją i postawienia Sowietów oraz PKWN przed faktem dokonanym – „my tu rządzymy”. Wkrótce jednak doszły do wniosku, że gra nie [jest] warta świeczki i trzeba, jak w powstaniu warszawskim, bezwzględnie rozprawić się z Polakami. Ten sam Riedienger, który konferował z przedstawicielami AK, stanął teraz na czele „akcji oczyszczających i pacyfikacyjnych”. Pierwsze i główne zadanie zostało skierowane na Skalbmierz 5 sierpnia, gdzie w krwawej walce zginęło około 40 żołnierzy AK i BCh, a 64 osoby zostały rozstrzelane. Straty te byłyby jeszcze większe, gdyby nie odsiecz dwóch czołgów radzieckich, które przedarły się przez front do Buska Zdroju i równoczesna pomoc ze strony oddziałów Armii Ludowej. Znaczne straty ponieśli również żandarmi, żołnierze Wehrmachtu i własowcy, którzy w popłochu wycofali się z miasteczka, gdzie dokonali rzezi.

W meldunku sytuacyjnym 5 sierpnia 1944 roku, dowódca „106 DP AK” mjr B. Ostrowski-Nieczuja „Tysiąc”, informował, że w odwet za przeprowadzoną pacyfikację Skalbmierza rozstrzelano pewną ilość Niemców i Ukraińców. Jeżeli jednak władze okupacyjne nie zaprzestaną krwawych rozpraw z ludnością cywilną, taki sam los spotka m.in. Helmuta Hermanna z żoną i dzieckiem, pojmanego przez partyzantów dyrektora cukrowni w Kazimierzy Wielkiej. Zalecając utrzymanie w gotowości oddziałów partyzanckich, zwrócił jednocześnie uwagę dowódcom, że ich akcje „nie mogą mieć charakteru walki powszechnej, a jedynie bitwy obronnej, celem ukrócenia wystąpień npl [nieprzyjaciela]”.

Wkrótce po krwawej pacyfikacji Skalbmierza, niemieckie oddziały pancerne zajęły z powrotem Kazimierzę i kolejno – Brzesko Nowe, Koszyce i Nowy Korczyn, przywracając łączność z własnymi wojskami frontowymi w rejonie Stopnicy i Pacanowa. 7 sierpnia wtargnęła powtórnie do Skalbmierza kolumna złożona z kilku samochodów, załadowanych żandarmami. Rozstrzelali oni na miejscu pięć osób, a dwadzieścia zabrali do Miechowa jako zakładników.

Płonne okazały się nadzieje władz okupacyjnych, że udało im się przywrócić panowanie i spokój na ziemiach pińczowskiej i miechowskiej. Walka nie była zakończona, mimo przygniatającej przewagi wroga. Wiązaliśmy nadzieje z powstaniem warszawskim i ofensywą Armii Czerwonej, która jak sądziliśmy, nie zatrzyma się na linii Wisły. Kiedy krwawiło powstanie warszawskie, nowy impuls do walki, zwłaszcza ałowcom i bechowcom stworzyły radzieckie i polskie grupy zwiadowcze, zrzucone na ziemię miechowską w sierpniu i wrześniu, które stały się załóżkiem nowych oddziałów partyzanckich, zadających dotkliwe straty okupantowi.

18 sierpnia w Górach Miechowskich oddział AK „Skrzetuskiego” pod dowództwem „Żbika” (Stanisława Jazdowskiego) wspierany przez bechowców odparł atak karnej ekspedycji niemieckiej. 21 sierpnia kolumna złożona z gestapowców,

żandarmów i własowców, załadowana na pociąg kolei wąskotorowej, wspierana przez samolot zwiadowczy, dokonała masakry w Janowicach, spędzając na środek napotkanych mieszkańców w ilości 18 osób i zadając im śmierć strzałami w tył głowy, mężczyznom, kobietom i dwojgu dzieciom. W sąsiedniej wsi Śladów zabili w podobny sposób chłopca. Ostrzeżeni w porę przez zawiadowcę stacji kolei wąskotorowej w Słaboszowie, Żwiryłę, należącego do AK, opuściliśmy wieś z prawie wszystkimi członkami ruchu oporu i uniknęliśmy niechybnej śmierci. Z wyjątkiem Ryszarda Lisa z AK i Mariana Nitwinki z BCh. Wrogowie przygotowując tak liczną ekspedycję karną liczyli prawdopodobnie na walkę z partyzantami polskimi i radzieckimi.

Kilku oprawców wpadło do naszego domu. W spółdzielni znajdowało się kilka osób. Spojrzeli na naklejoną na drzwiach do kuchni kartkę z wykazem osób zamieszkałych w domu (wydany był w tej sprawie surowy nakaz od początku 1944 roku) i natarczywie wypytywali matkę, gdzie jestem, a także mój brat Włodzimierz. Tłumaczyła, że obydwaj udaliśmy się rano do Książa Wielkiego po zakup towarów do spółdzielni. Wszystkich obecnych w spółdzielni, z moją matką i siostrą, Domicelą, wyprowadzili przed dom i nakazali uklęknąć z podniesionymi w górę rękami. Za chwilę z sąsiedniego domu dołączono do nich jeszcze dwie kobiety. Jedną z nich była moja babka. Zbliżała się chwila śmierci. Jeden z faszystów zdjął z ramienia automat... Ale, kiedy kobiety zaczęły przeraźliwie krzyczeć, zawahali się, odeszli na bok i zamienili ze sobą kilka słów. Po chwili podszedł do nich osobnik odziany po cywilnemu, popatrzył na oniemiałe przed śmiercią kobiety i rzekł po polsku, aby natychmiast szły do domu. Mówiono później, że wszystkie one przedwcześnie posiwiwały.

W trzecim dniu po krwawej pacyfikacji Janowic, pluton AK na czele z „Babiniczem” (Julian Nowak z Witowic) przeprowadził śmiałą akcję w Kalinie Wielkiej przeciwko żołnierzom niemieckim, konwojującym pociąg towarowy załadowanym cukrem z Kazimierzy Wielkiej. Dwóch z nich zostało zabitych, a kilku było rannych. Mieszkańcy opróżnili wagony z cukrem. 24 sierpnia dwa samoloty niemieckie nadleciały nad Kalinę Wielką i płytkami fosforowymi wznieciły pożary czterech domów, spichlerza i mleczarni.

W trzeciej dekadzie sierpnia zaczęli się pojawiać pojedynczo, lub grupkami żołnierze z powstania warszawskiego, szukający schronienia, albo też zamierzający kontynuować walkę z okupantem w partyzanckich oddziałach. Pamiętam spotkanie z kilkunastu sanitariuszkami, które wydostały się z Warszawy i postanowiły dostać się do zgrupowania Armii Krajowej w lasach sancygniowskich. 28 sierpnia dowództwo niemieckie usiłowało zadać decydujący cios temu zgrupowaniu. Około 100 żandarmów, żołnierzy Wehrmachtu i faszystów ukraińskich, uzbrojonych po zęby, również w cekaemy i moździerze wspieranych przez „Storchy” rozpoczęło natarcie w kierunku Książa Małego, Trzonowa, Wałów i Krzeszówki, ale zostali odparci, wznecając pożary w wymienionych miejscowościach i rabując

mienie mieszkańców. Po jakimś czasie trzy samoloty niemieckie zbombardowały zabudowania folwarczne w Knyszynie i ostrzeliwując las z broni pokładowej, spowodowały wybuch magazynu amunicji i broni, mieszczącej się w jednej ze stodół. W następstwie zginęło 3 żołnierzy AK i czterech robotników, zatrudnionych w majątku. W strasznych cierpieniach skończyła jedna z sanitariuszek, gdyż podczas wybuchu magazynu straciła nogę z częścią biodra.

Mimo zdławienia powstania warszawskiego i zatrzymania się ofensywy radzieckiej na linii Wisły, oczywisty stawał się fakt nieuchronnie zbliżającej się klęski hitlerowskich Niemiec. W sytuacji, gdy nowa ofensywa Armii Czerwonej była tylko kwestią czasu i następowała radykalizacja nastrojów społecznych, zwłaszcza na wsi, spodziewaliśmy się pewnej ewolucji poglądów dowódców AK. Wszystko wskazywało bowiem na to, że przez Polskę przetoczy się wielka ofensywa armii radzieckich i że ten fakt spowoduje następstwa polityczne dla narodu polskiego. Objawem jednak bezgranicznego zaślepienia, nienawiści i dążeń do rozprawienia się siłą z lewicą niepodległościową, zastraszania ałowców, peperowców i bechowców, stały się kolejne mordy bratobójcze. I to niedługo potem, kiedy przywódca ruchu ludowego w powiatach – miechowskim, olkuskim i pińczowskim – Józef Zastawny „Trzon”, Stanisław Seweryn „Korba” i Józef Dąbkowski „Dąb”, wystosowali 25 sierpnia 1944 roku memoriał do dowódcy „106 DPAK”, w którym ostro potępili rozmowy i układy z Niemcami, „skutkiem czego puszczoło wolno schwytanych żołnierzy niemieckich z bronią, zamiast ich rozbroić”. Wskazywano również, że w „dywizji AK” „stanowiska dowódców obsadzane są ludźmi często nie mającymi za sobą aktywnego uczestnictwa w walce podziemnej i działalności konspiracyjnej, a także nierzadko skompromitowanymi wysługiwaniem się okupantowi i żerowaniem na nędzy mas ludowych, pomimo, że wśród żołnierzy BCh są odpowiednie siły oficerskie i podoficerskie, celowo pomijane przez kierownictwo AK”. Obarczano również dowództwo dywizji odpowiedzialnością za brak ochrony ludności cywilnej przed akcjami represyjnymi ze strony okupanta, ponieważ dotychczasowe działania oddziałów dywersyjnych AK „przyniosły jedynie dla ludności tragiczne skutki pacyfikacyjne”. W memoriale domagano się usunięcia z odpowiedzialnych stanowisk w AK osób skompromitowanych współpracą z Niemcami, postawienia ich przed sądem i ukarania, sprzeciwiono się kategorycznie próbom podporządkowania oddziałów LSB i BCh dowództwu AK oraz zastrzeżono prawo tworzenia w strukturze AK kompanii z batalionów złożonych wyłącznie z żołnierzy BCh.

W kolejnym dokumencie, skierowanym 29 sierpnia 1944 roku do dowódcy „106 DP AK”, „Trzon”, „Korba” i „Marek” (Józef Guzik, komendant powiatowy LSB Miechowa), domagali się usunięcia z AK „Jaksy” i „Wiernego”, a także innych osób „za mordy bratobójcze, rabunki i terroryzowanie ludności w gminie Nieszków” oraz oficera AK „Kmity”, który ścigał w swoim czasie „Pazura” (Józef Goły – „Adrianowicz”, słynny dowódca oddziału partyzanckiego BCh, który

w niewyjaśnionych okolicznościach zginął 18 sierpnia 1944 roku), z zamiarem wykonania na nim wyroku śmierci i prowadził rozmowy z Niemcami, z Riedingerem.

Niestety, apele te pozostały bez echa, wzmożła się natomiast propaganda przeciwko „elementom i wywrotowcom”, rozpowszechniono wiadomość o sporządzeniu „czarnych list” osób związanych z komunizmem i grożono likwidacją „bandytów bolszewickich”. W tej atmosferze dokonano kolejnego mordu bratobójczego we wsi Góry Miechowskie. 6 września podstępnie wywołano do lasu Zdzisława Mirka „Gustlika” i tam go zamordowano. Dopiero w marcu 1945 roku odnaleziono jego mogiłę. Miał połamane kości rąk i nóg. Ekshumowano jego zwłoki i w manifestacyjnym przeciw mordercom pogrzebie, pochowano na cmentarzu w Kalinie Wielkiej. Ten młody, odważny chłopak, syn listonosza, uciekł z Dąbrowy Górniczej z bratem przed wywiezieniem na roboty przymusowe do Niemiec i zamieszkał u kuzynów na wsi. Wkrótce też nawiązał współpracę z nami i wstąpił do „KDiGS”. W 1943 roku, latem, Zdzisław znalazł się w składzie grupy bechowskiej, która wymierzyła karę chłosty komisarzowi zarządzającemu młynem we wsi Śladow. Osobnik ten następnie znalazł się w plutonie „Jaksy” i postanowił krwawo się zemścić.

Po tragedii, jaka spotkała kilkanaście rodzin w Janowicach, dowiedziałem się, że część mieszkańców obciążać nas będzie winą, że to nasza działalność konspiracyjna, a następnie jawna w okresie „republiki partyzanckiej” była przyczyną pacyfikacji hitlerowsko-własowskiej. Obawy te okazały się nieuzasadnione, od czasu gdy w przeddzień pogrzebu ofiar mordu faszystowskiego, przyjechał bryczką do Janowic porucznik AK „Kmita”, aby wyrazić współczucie rodzinom, które utraciły najbliższych... Wkrótce też okazało się, co było bezpośrednią przyczyną ekspedycji karnej w Janowicach. Oto jadący bryczką patrol z plutonu „Jaksy”, składający się z 4 osób natknął się między Janowicami, a Śladowem, w drugiej połowie sierpnia, na dwóch żołnierzy Wehrmachtu, jadących na motocyklu. Otworzono do nich ogień, raniąc obydwo, w tym jednego z nich ciężko. Mimo to, dojechali jednakże do Miechowa i fakt ten stał się pretekstem do krwawego odwetu.

16 września, zanim zdążono mnie ostrzec, kilku osobników z plutonu „Jaksy” podjechało na furmance pod spółdzielnię w Janowicach, w której wówczas stałem za ladą. Czterech z nich weszło do sklepu, inni pozostali na zewnątrz. Zdałem sobie sprawę z położenia, starałem się zachować maksymalny spokój, a jednocześnie zebrać intensywnie myśli, co czynić dalej. Poprosili o lemoniadę, a ponieważ jej nie było, zaproponowałem „sodówkę” i wyszedłem po zimną wodę do studni na podwórzu. Stąd, ile sił w nogach, pobiegłem obok stodoły na łąkę, skąd niedaleko było już do rzeki Nidzicy. Wzdłuż niej podążyłem do Słaboszowa i opowiedziałem kolegom z BCh, co mi groziło. Tejże nocy grupa z oddziału „Burza” wymierzyła w Janowicach karę chłosty osobom sympatyzującym z „Jaksą” i „Olgierdem” ostrzegając, że w przypadku wyrządzenia krzywdy któremuś z BCh, podjęte zo-

staną środki represyjne i odwetowe. Matka zastąpiła mnie w spółdzielni i kiedy „jaksowcy” dopytywali się, gdzie jestem, odpowiadała, że wcześniej byłem umówiony z kierownikiem spółdzielni, Patrem w Ilkowicach i nie chciałem się spóźnić. Żalowali, że nie mogli ze mną porozmawiać w ważnych sprawach...

Nie minęły jeszcze echa wydarzeń, bulwersujących opinię publiczną, gdy znaleźliśmy się w obliczu nowego zamachu bratobójczego. 22 września 1944 roku, przed północą, Szymon Dudek „Wrzos”, działacz SL „Rocha” i komendant Straży Samorządowej Obwodu Miechów, z Władysławem Dąbrowskim „Kosem” komendantem LSB gminy Nieszków, przybyli do domu Józefa Grysakowskiego „Kota”, przewodniczącego Gminnego Komitetu Ruchu Ludowego w Rędzinach Zbigalskich. Kiedy już wszyscy położyli się spać, podjechała około godziny 1.00 furmanka przed dom. Grupa uzbrojonych osobników, przedstawiająca się jako „Wojsko Polskie”, dostała się do wnętrza budynku, szukając Grysakowskiego. Ten jednak schronił się na strychu, zastali natomiast w izbie Dudka. Niezwłocznie zameldowano o tym „Olgierdowi”, który polecił wyprowadzić „Wrzosa” i zabrać go na furmankę. Dudek zdawał sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa, (podobnie jak innych zamierzano go zastrzelić) stawiał więc rozpaczliwy opór. Povalono go uderzeniem kolby na ziemię. Obecne w domu kobiety – żona Grysakowskiego, Wiktoria i jej dwie córki, Stefania i Władysława, błagały o litość dla brojącego krwią człowieka. Odepchnięto je brutalnie, ale Dudkowi udało się wcisnąć pod łóżko, gdzie szukał ratunku.

– *Zastrzelić go jak psa* – rozkazał wówczas „Olgierd”. Jeden ze zbirów przykleknął obok łóżka i oddał w stronę „Dudka” serię z automatu... sądząc, że ofiara nie żyje, bratobójcy odjechali. Dudek pozostał jednak przy życiu, gdyż kule przeszły mu tylko przez ramię. Nazajutrz przyjaciele odwieźli go do szpitala w Miechowie. Osobistą opiekę nad rannym roztoczyła Teofila Laskowska-Surgowiecka „Wiewiórka” będąca łączniczką oddziału LSB „Ryszarda”.

Tydzień po zamachu na życie „Wrzosa” przybyłem z grupą uzbrojonych bechowców do domu Grysakowskich. Na ścianie i pod łóżkiem pokazano nam duże plamy krwi, których nie zmywano licząc na przeprowadzenie dochodzenia przez przełożonych „Olgierda”.

Stan zdrowia Szymona Dudka był ciężki, a w dodatku w każdej chwili mogli nim zainteresować się żandarmi. Dwukrotnie odkładano termin wydostania go ze szpitala. Dopiero po dwóch miesiącach, w grudniu, lekarz Stefan Downarowicz uznał, że można akcję przeprowadzić. Obawiano się, że sprawcy zamachu mogą podjąć próbę otrucia „Wrzosa”. Grupa żołnierzy LSB na czele z Tadeuszem Jędruchem „Ryszardem” i Józefem Biesagą przedostała się niepostrzeżenie w godzinach popołudniowych na teren szpitala, gdzie przecięto druty telefoniczne i ubezpieczono wejście. „Wiewiórka” przyniosła odzież, obuwie i kożuch, w które szybko przebrano Dudka w szalecie. Z bronią gotową do strzału, partyzanci przeprowadzili go przez ogród do ulicy, gdzie oczekiwała nań furmanka. Tu okazało się, że ktoś za-

brał siedzenie i snopki słomy, a woźnica ulotnił się. Mimo tych nieprzewidzianych okoliczności, akcja udała się i Dudka przewieziono do domu Franciszka Wnuka w Pałecznicy pod opiekę sanitariuszek „Zielonego Krzyża”.

Zamach na Dudka i niedoszły na Grysakowskiego, wywołał szerokie oburzenie i falę protestów ze strony przedstawicieli ruchu ludowego. Aby złagodzić napięcie, inspektor Miechowskiego AK – dowódca „106 DP AK”, rozkazem z 25 września 1944 roku powołał Wojskową Komisję Śledczą. Przedłożyła ona wniosek o aresztowanie winnych i oddanie sprawców z ppor. „Olgiem”, a także ppor. „Jaksą” do jej dyspozycji. 29 września członkowie komisji udali się do lasów sancygniowskich, gdzie stacjonował „Batalion Szturmowy 106 DP AK” na czele z mjr. Antonim Iglewskim „Ponarem”, a któremu podlegały oddziały „Olgiem” i „Jaksy”. Do aresztowania ich jednak nie doszło, gdyż podlegli „Olgiem” i „Jaksy” sprzeciwili się temu i zagrozili użyciem broni wobec członków komisji.

Po zamachu na Dudka wyczerpała się granica cierpliwości i przelała się czara goryczy bechowców. Postanowili dokonać odwetu na głównym inspiratorze bratobójczych mordów – Wojciechu Kobylcu „Wierszyn”, kiedy 27 września podążył on na jakieś spotkanie nocą w towarzystwie Władysława Grądkiewicza „Orlika”, plutonowego AK z Kropidła. Kobylec zdołał zbiec, śmierć w zasadzce poniósł natomiast Grądkiewicz.

Norbert Michta